

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

DZIEJE GRZECZNEGO CHŁOPCZYKA

Mark Twain

Żył sobie pewnego razu greczny chłopczyk, który nazywał się Jacob Blivens. Chłopiec ten zawsze słuchał rodziców, bez względu na to, jak dalece bezsensowne i głupie były ich rozkazy; poza tym odrabiał zawsze lekcje i nigdy nie spóźniał się do szkoły niedzielnej. Nie grywał nigdy w palanta, nawet wtedy gdy prosty rozum mówił mu, że jest to najpożyteczniejsza rzecz, jaką może zrobić w danej chwili. Nikt spośród innych chłopców nie mógł go zrozumieć, tak dziwnie sobie poczynał. Nie chciał na przykład kłamać, choćby to nie wiem jak było dogodne i rozsądne. Mówił, że kłamstwo jest rzeczą brzydką - i basta.

Słowem, był on uczciwy aż do śmieszności. Dziwactwa Jacoba przechodziły wszystko na świecie. Nie chciał na przykład grywać w kamyki w niedzielę, nie chciał niszczyć gniazd ptasich, nie chciał podawać rozpalonych monet małpom katarzyniarzy; jak widzimy więc, nie interesowały go żadne godziwe rozrywki. Inni chłopcy próbowali wytłumaczyć sobie jego postępowanie, ale nie mogli dojść do żadnego zadowalającego rezultatu... Jak już wspominałem, utworzyli sobie oni jakiś mglisty pogląd, że jest on "nienormalny". Dlatego też wzięli go pod opiekę i nie pozwalali nikomu krzywdzić.

Ten greczny chłopczyk czytywał wszystkie książki, jakie zalecano do lektury w szkółce niedzielnej, i sprawiały mu one niezmierną przyjemność. W tym właśnie tkwiła cała tajemnica. Wierzył on w dobrych chłopczyków, o których mówią czytanki szkółek niedzielnych; żywił ku nim całkowite zaufanie.

Ogromnie pragnął spotkać choć raz w życiu takiego wzorowego chłopczyka z krwi i kości, ale nigdy mu się to nie udało. Prawdopodobnie wszyscy oni wymarli przed nim. Kiedy czytał o jakimś szczególnie grzecznym chłopcu, to czym prędzej zerkał na koniec książki, by dowiedzieć się, co się z nim stało; gotów był bowiem przejść choćby tysiące mil, byle tylko móc ujrzeć go na własne oczy. Było to jednak bezcelowe: greczny chłopiec zawsze umierał w ostatnim rozdziale, przy czym rozdział ten zawierał rycinę przedstawiającą pogrzeb; dokoła grobu stali wszyscy jego krewni i dzieci ze szkoły niedzielnej w przykrótkich spodenkach i ogromnych kapeluszach i wszyscy płakali w chusteczki do nosa, na które zużyto co najmniej półtora jarda materiału. I zawsze tak się kończyło. Jacob nie mógł nigdy poznać ani jednego z tych grucznych chłopczyków, już choćby z tego powodu, że umierali oni zawsze w ostatnim rozdziale.

Jacob żywił szlachetną ambicję dostania się na karty podręcznika szkoły niedzielnej. Pragnął figurować w takiej książeczce z rycinami, które wyobrażałyby, jak dumnie odmawia oszukiwania swej matki, ta zaś z radości przyciska go do serca, jak stoi na ganku i daje centa biednej żebraczce z sześciorgiem dzieci i oświadcza jej, że może swobodnie wydać te pieniądze, lecz nie powinna być rozrzutna, ponieważ rozrzutność jest grzechem; i wreszcie, jak wspaniałomyślnie nie zgadza się poskarżyć na niegrzecznego chłopca, który stale czyhał na niego na rogu ulicy, gdy Jacob wracał ze szkoły, i bił go prętem po głowie, po czym gonił za nim do domu krzycząc: hi! hi! Takie miał ambicje młody Jacob Blivens. Pragnął dostać się do czytanki szkoły niedzielnej. Co prawda, było mu

niekiedy jakoś nieswojo, gdy przypomniał sobie, że grzeczni chłopcy zawsze umierają. Podobało mu się życie, toteż zawsze była to najbardziej przykra karta w dziejach chłopczyka z czytanki szkółki niedzielnej. Wiedział, że być grzecznym chłopcem to rzecz niezbyt zdrowa. Wiedział, że być takim nienaturalnie grzecznym chłopcem jak chłopcy w czytankach jest rzeczą gorszą od suchot, wiedział, że ani jeden z nich nie był w stanie wytrzymać tego długo, toteż smutek ogarniał go na myśl, że jeśli zostanie uwieczniony w książeczce, to nigdy jej nie ujrzy; jeśli zaś książka będzie wydana przed jego śmiercią, to nie będzie miała powodzenia bez niezbędnej ryciny na ostatniej stronie, wyobrażającej jego pogrzeb. Jakiż bowiem sens miałaby umoralniająca książka, skoro nie mogłaby przekazać ludziom rady i przestrogi, jakiej udzielił umierając swym współobywatelom? Tak więc w końcu postanowił zrobić najlepsze, co mógł uczynić w danych okolicznościach: żyć cnotliwie i wlec swą taczkę, póki sił starczy, mając w pogotowiu mowę przedśmiertną, przygotowaną na wszelki wypadek.

Cóż, kiedy jakoś nic nie udawało się temu chłopcu! Nic nie działało się tak jak trzeba, tak jak pisano o grzecznych chłopczykach w czytankach. Bohaterom książeczek na przykład wiodło się wszystko znakomicie, a tylko tutaj wszystko działało się na opak. Gdy Jacob ujrzał, że Jim Blake kradnie jabłka, i stanął pod drzewem, aby odczytać mu kazanie o złym chłopcu, który spadł z jabłoni sąsiada i złamał sobie rękę, to Jim istotnie runął z drzewa łamiąc rękę jemu, podczas gdy sam nawet się nie zadrasnął. Jacob nie mógł tego zrozumieć. W książkach nigdy nie wyczytał nic podobnego.

Innym razem, gdy kilku niegrzecznych chłopców wtrąciło ślepego starca do błota, a Jacob nadbiegł, aby go podnieść i otrzymać odeń błogosławieństwo, to ślepcowi ani na myśl przyszło udzielić mu błogosławieństwa, przeciwnie, uderzył go kijem po głowie, twierdząc, że właśnie Jacob wepchnął go do kałuży.

Nie zgadzało się to z żadną moralną opowieścią w czytankach, Jacob przejrzał je wszystkie starannie, ale nie znalazł precedensu.

Niezmiernie pragnął znaleźć kulawego psa, bezdomnego i wygłodzonego przybłądę, chciał go sprowadzić do domu, odżywić i w zamian posiadać jego dozgonną życzliwość. I oto wreszcie znalazł takiego psa i poczuł się szczęśliwy. Sprowadził go do domu, nakarmił, lecz gdy chciał go pogłaskać, pies rzucił się nań i poszarpał mu całe ubranie, pozostawiając tylko nieduże strzępki z przodu, wskutek czego Jacob miał wygląd iście niezwykły! Zainterpelował w tej sprawie liczne autorytety, gdyż nie mógł wytłumaczyć sobie tego wypadku. Pies był tego samego gatunku co w książkach, lecz poczynął sobie zupełnie inaczej.

I tak działało się we wszystkich sprawach. Cokolwiek przedsięwziął ten chłopiec - zawsze kończyło się dlań niepomyślnie. Te same czyny, za które chłopcy w czytankach otrzymywali nagrody, stawały się dlań najbardziej fatalnymi imprezami, w jakie mógł się być wplątać.

Pewnego razu idąc do szkółki niedzielnej ujrzał, jak kilku niegrzecznych chłopców zamierza wybrać się na przejażdżkę żaglówką. Widząc to przeraził się. Wiedział bowiem z czytanek, że chłopcy, którzy jeżdżą żaglówkami w niedzielę, zawsze toną. I oto pobiegł, by ich o tym uprzedzić, ale właśnie wtedy potknął się o patyk i sam wpadł do rzeki. Jakiś przechodzień wyciągnął go stamtąd, po czym doktor wypompował zeń wodę i tchnął weń życie swymi zabiegami; cóż kiedy Jacob zaziębił się i przez dziewięć tygodni leżał w łóżku.

Najbardziej wszakże w tym wszystkim niepojęte było to, że owi niegrzeczni chłopcy najspokojniej w świecie jeździli sobie łódką przez cały dzień, po czym w całkiem niezrozumiały sposób wrócili do domu rozbawieni i cali. Wówczas Jacob oświadczył, że na nic podobnego nie natknął się w żadnych czytankach. Oszło mi to najzupełniej.

Przyszedłszy do siebie poczuł się nieco zbity z tropu, mimo to jednak postanowił kontynuować

swe cnotliwe eksperymenty. Wiedział, że jego dotychczasowe czyny nie nadają się jeszcze do umieszczenia w czytance, ale ufał, że dostanie się tam kiedyś, jeżeli wytrzyma do końca na swej drodze. A gdyby nawet nie udało mu się to przedsięwzięcie, to i tak pozostaje mu jeszcze na pociechę wygłoszenie mowy przedśmiertnej.

Przestudiował ponownie swe książki i uznał, że nadszedł już czas, kiedy powinien zgłosić się do pracy jako posługacz okrętowy. Udał się tedy do kapitana statku ofiarowując mu swoje usługi, a gdy kapitan zapytał, czy ma jakieś rekomendacje, Jacob wyjął dumnie książeczkę z dedykacją i wskazał na słowa: "Jacobowi Blivensowi od kochającego nauczyciela." Ale kapitan statku był to snadź człowiek źle wychowany, oświadczył bowiem: "Po kiego diabła mi ten śmieć! Nie jest to żaden dowód, że umiesz zmywać naczynia i wylewać pomyje z kubłów." Po czym dodał, że nie potrzebuje go wcale. Było to niewątpliwie najniezwyklejsze zdarzenie w życiu naszego bohatera. W czytankach szkolnych dedykacja nauczyciela budziła zawsze jak najczulsze uczucia u kapitanów okrętów i otwierała posiadaczom tejże drogę do wszystkich honorowych i intratnych urzędów, jakimi dysponowali kapitanowie. Zawsze działało się tak we wszystkich książeczkach przeczytanych przez Jacoba. Teraz dopiero nie wiedział, co począć.

Chłopcu temu nigdy się nic nie wiodło i nic nie działo w jego życiu tak, jak pouczyły autorytety moralne z czytanek. Wreszcie pewnego razu poszukując niegrzecznych chłopców, którym chciał przeczytać jakieś kazanie, zastał ich całą zgrają na dziedzińcu starej huty; chłopcy ci bawili się czternastoma czy piętnastoma psami, które powiązali razem w długi łańcuch, po czym zamierzali ozdobić im ogony pustymi blaszankami po nitroglicerynie.

Jacobowi serce zabiło mocniej. Usiadł na jednej z tych blaszanek, leżącej w błocie (Jacob nigdy nie zwracał uwagi na błoto, gdy chodziło o spełnienie obowiązku), ujął najbliższego psa za obrozę, po czym utkwiał wzrok pełen wyrzutu w złym Tomie Jonesie. Ale w tym momencie wszedł na dziedziniec huty zarządca, pan McWolter, trzęsąc się z wściekłości. Wszyscy niegrzeczni chłopcy w lot się rozbiegli, tylko Jacob Blivens powstał w poczuciu swej niewinności i rozpoczął jedno z owych pięknych przemówień z czytanek szkółek niedzielnych, które zawsze zaczynają się od słów: "O, sir!", wbrew temu, że żaden chłopiec ani grzeczny, ani niegrzeczny nie zaczyna nigdy żadnego zdania zwrotem: "O, sir!"

Niestety, zarządca nie czekał na koniec przemówienia. Chwycił Jacoba Blivensa za ucho, zakręcił nim, po czym grzmotnął go swą olbrzymią łapą w tylną część ciała z taką siłą, że nasz grzeczny chłopiec wyleciał przez dach i pomknął ku słońcu wraz z piętnastoma psami, które snuły się za nim w górze niby ogon latawca. Co się zaś tyczy przedśmiertnej mowy, to Jacob Blivens nie mógł już jej wygłosić, choć na ułożenie jej zmarnował tyle czasu. Prawdopodobnie wygłosił ją ptakom, albowiem większa część jego ciała spadła na szczyt drzewa w jednym powiecie, reszta zaś podzielona została skrupulatnie na cztery inne powiaty, skutkiem czego trzeba było aż pięciu badań sądowych, by wyjaśnić, czy Jacob żyje, czy też umarł i jak się to stało...

Tak oto zginął grzeczny chłopiec, który poczynał sobie niezmiennie w sposób szlachetny, ale osiągał zawsze rezultaty niezgodne z czytankami. Wszyscy chłopcy poczynający sobie w sposób podobny wychodzili na tym w czytankach jak najlepiej. Tylko z nim działo się inaczej. Los jego był, zaiste, niezwykle.